

HILARY MANTEL
NA
SZAFOCIE

fragment

Z języka angielskiego przełożyła
Urszula Gardner



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA



**CZEŚĆ
PIERWSZA**





I

Sokoły

Wiltshire, wrzesień 1535

Jego dzieci lecą z nieba. Przygląda się z siodła, mając za sobą rozległy angielski krajobraz; a one spadają – na złocistych skrzydłach, z przekrwionymi oczyma. Grace Cromwell zawisa w powietrzu. W milczeniu dopada zdobyczy, w milczeniu ląduje na jego pięści. Za to potem szeleści piórami i skrzeczy, popiskuje i zgrzyta niczym jakiś mechanizm, dobywa z siebie gardłowe gdaknięcia, a wszystko to jest takie znajome, intymne, córczane, niemalże pełne dezaprobaty. Pierś ma całą we krwi, kawałki mięsa przyczepione do szponów.

Później Henryk powie: „Twoje dziewczęta ładnie dziś poleciały”. Sokół imieniem Anna Cromwell podskakuje na rękawicy młodego Sadlera, który jedzie obok króla pogrążony w rozmowie. Wszyscy są zmęczeni; słońce już zachodzi, wracają do komnat Wolf Hall, trzymając wodze luźno na karkach wierzchowców. Nazajutrz polecą jego dwie siostry i żona. Nowe wcielenia dawno zmarłych kobiet, których kości spoczywają w gliniastej londyńskiej ziemi. Lekkie niczym piórko unoszą się na wstępujących prądach powietrznych. Nie znają litości. Przed nikim nie muszą się opowiadać. Wiodą prostą egzystencję. Patrząc w dół, widzą tylko zdobycz i może jeszcze piórka przy myśliwskich kapeluszach; dostrzegają rozmigotany, rozchybotany świat – świat pełen pożywienia.

I tak jest od początku lata – orgia oddzielanych kończyn, futra i wirującego pierza; odganianie i zapędzanie ogarów, folgowanie zmęczonym wierzchowcom, opatrywanie przez myśliwych odniesionych obrażeń, zwichnięć i pęcherzy. Słońce świeciło Henrykowi przez kilka dni co najmniej. Czasami rano z zachodu nadciągały chmury i deszcz padał dużymi wonnymi kroplami, lecz później słońce wylaniało się znowu, by prażyć, i firmament był tak przejrzysty, że dało się zajrzeć do nieba i zobaczyć, co robią święci – tak jak teraz.

Kiedy zsiadają i przekazują wodze stajennym, by zaraz otoczył atencją najjaśniejszego pana, jego myśli biegną już ku dokumentom: ku listom z Whitehallu na złamanie karku dostarczonym tu przez posłańców przemierzających trakty pocztowe wyznaczane każdorazowo, gdy dwór przenosi się w nowe miejsce. Podczas wieczerzy u Seymourów będzie słuchał opowieści gospodarzy, podda się woli króla, wciąż rozczochranego, uszczęśliwionego i przyjaźnie nastawionego. Wszelako gdy król położy się spać, on zabierze się do pracy.

Chociaż dzień praktycznie dobiegł końca, Henryk nie kwapi się z wejściem do środka. Z czołem naznaczonym szerokim ceglastym pasem opalenizny stoi na zewnątrz i rozgląda się, wdychając zapach końskiego potu. Na samym początku polowania zgubił nakrycie głowy i reszta towarzystwa zgodnie ze zwyczajem też bawiła się z odkrytą głową. Król nie przyjął niczego w zamian. Mimo że zmierzch zakrada się wśród pól i lasów, słudzy nie przestają szukać lśnienia czerni na ciemniejącej trawie czy błysku myśliwskiej broszy, świętego Huberta ze złota i z szafirowymi oczyma.

Czuć nadciągającą jesień. Człowiek wie, że takich dni jak ten nie pozostało już wiele, zatem stójmy pośród krzątany stajennych, pośród krajobrazu hrabstwa Wiltshire i dalszych, położonych bardziej na zachód hrabstw niknących na styku zieleni i niebieskości; stójmy z dłonią króla na ramieniu, przysłuchując się, jak Henryk z rozplamioną twarzą meandruje po mijającym dniu, gęstych zagajnikach i rwących strumieniach, przybrzeżnych olszynach, mgłę, która rozwiła się całkiem wczesnie, przelotnym deszczyku; lekkim wietrze, co ustał, martwocie powietrza, popołudniowym upale.

– Jak to możliwe, żeś nie doznał oparzenia? – dziwi się Rafe Sandler. Rudowłosy podobnie jak król przypieklł się na różowo i plami-

sto, nawet jego oczy wydają się przysmażone. On, Tomasz Cromwell, wzrusza ramionami i obejmuje młodego Sadlera, gdy wolnym krokiem wchodzi do komnat Wolf Hall. Przebrnął przez całą Italię – zarówno jej pola bitew, jak i mroczne wnętrza kantoru – i nigdy nie stracił angielskiej błądźli. Urwisowskie dzieciństwo, dni spędzone nad rzeką, dni spędzone na polach, a on wciąż jest tak błądźli, jak uczynił go Bóg.

– Cromwell ma skórę białą niczym lelija – oznajmia król. – I tylko w tym jednym przypomina jakikolwiek kwiat.

Drocząc się z nim, zmierzają na wieczerzę.

Henryk opuścił Whitehall tego tygodnia, gdy zmarł Tomasz Morus, a był to ponury ociekający wodą lipcowy tydzień, przez co kopyta królewskiego orszaku grzęzły głęboko w błocie podczas przeprawy do Windsoru. Następnie orszak skierował się bardziej na zachód; pomocnicy Cromwella pozostawieni w Londynie, aby dopilnować spraw monarchy, dołączyli do reszty świty dopiero w połowie sierpnia. Od tamtej pory król i towarzyszący mu ludzie zatrzymują się w nowych budynkach wzniesionych z różowawej cegły, w starych budowlach, których umocnienia zdążyły same się rozpaść albo zostały zburzone, wreszcie w pałacach jak z bajki – przypominających zabawki, pozbawionych murów obronnych i o ścianach tak cienkich, że przebiłaby je pierwsza lepsza kula armatnia. W Anglii od półwiecza panuje pokój: oto tudorowskie przymierze. Każdy ród stara się podjąć Henryka jak najgodniej, dlatego od pewnego czasu jesteśmy świadkami panicznego gipsowania i pośpiesznych robót kamieniarskich, gospodarze bowiem w ostatniej chwili dokładają motyw róży Tudorów obok swoich herbów. Wszyscy wyszukują i usuwają ślady po Katarzynie, niegdysiejszej królowej, rozbijając młotami aragońskie granaty, które rozpryskują się na cząstki i sypią wkoło nasionkami. W ich miejsce – gdy brak czasu na rzeźbienie – pojawiają się sokoły Anny Boleyn wymalowane na chybicka na tablicach herbowych.

W trakcie objazdu królestwa towarzyszy im Hans, który namalował Annę, nową królową, ale jej nie zadowolili; ba, kto ostatnio potrafi ją zadowolić? Naszkicował też młodego Sadlera z jego schludną bródką i zaciętymi wargami, w modnym nakryciu głowy w postaci

ozdobionego piórkami dysku niebezpiecznie balansującego na ostrzyżonym ciemieniu.

– Mam taki płaski nos, mistrzu – skarży się Rafe Sadler, na co Hans odpowiada:

– Czyżbym twoim zdaniem miał wystarczającą moc, by naprawić ci nos?...

– Złamał go jeszcze jako dziecko – wtrąca – gdy biegał po padoku. Uratowałem wprost spod końskich kopyt zapłakany tłumoczek, jakim wtedy był, stęskniony za matką. – Ścisła ramię młodzieńca. – No, Rafe... głowa do góry. Uważam, że wyszedłeś niezwykle przystojnie. Pamiętasz, co Hans uczynił mnie?

Tomasz Cromwell ma obecnie około pięćdziesięciu lat. Ma ciało robotnika, przysadziste, użyteczne, zaczynające tyć. Ma czarne włosy, siwiejące już, a z powodu jego bladej odpornej cery, znoszącej dobrze zarówno słońce, jak i słońce, ludzie sarkają, że jego ojcem był Irlandczyk, choć tak naprawdę był nim piwowar i kowal z Putney, do tego postrzygacz, człowiek, który maczał palce we wszystkim, zgoła zbieracz śmieci i awanturnik, moczymorda i okrutnik, mężczyzna, który nieraz stawał przed sądem za pobicie kogoś czy za oszustwo. Jakim cudem syn kogoś takiego tyle osiągnął, to pytanie, które zadaje sobie cała Europa. Niektórzy powiadają, że urósł w siłę dzięki Boleynom, krewnym królowej. Inni twierdzą, że wszystko zawdzięcza kardynałowi Wolseyowi, swemu mentorowi – był zausznikiem kardynała, pomnażał jego pieniądze i znał jego sekrety. Jeszcze inni mówią, że zadaje się z czarnoksiężnikami. Od chłopięctwa przebywał poza granicami kraju: był najemnikiem, handlarzem wełną, bankierem. Nikt nie wie, gdzie się podziewał i z kim się zadawał, a jemu nieśpieszno się z tego spowiadać. Nie oszczędza się na królewskiej służbie, lecz zna swoją wartość i swoje zasługi i zawsze odbiera należną mu nagrodę – stąd urzędy i przywileje, stąd nadania, dworki i ziemie. Potrafi postawić na swoim, ma na to sprawdzone sposoby; drugiego człowieka potraktuje prośbą albo groźbą, ucieknie się do charme'u albo łapówki, wytłumaczy, co będzie dla drugiej strony najlepsze, a nawet wyciągnie na jaw coś, o czym druga strona nie miała dotąd pojęcia, choć dotyczyło to jej charakteru czy życia. Co dzień lord sekretarz ma do czynienia z wielmożami, którzy – gdyby tylko mogli – pozbyliby się go jednym

mściwym ruchem, jakby był uprzykrzoną muchą. Świadom tego dał się poznać jako nader uprzejmy, nader spokojny i nader spolegliwy, gdy idzie o sprawy Anglii. Nie zwykł jednak z niczego się tłumaczyć. Nie zwykł rozprawiać o własnych sukcesach. Ilekroć wszakże Fortuna uśmiechnęła się do niego, stawiał się jak na wezwanie, wkładał nogę między drzwi i był gotów otworzyć je jeszcze szerzej.

W jego londyńskim domu przy zaułku Austin Friars wisi na ścianie portret; ciemne sprawki spowite wełną i futrem, dłoń zaciśnięta na jakimś dokumencie jak na szyi ofiary. Hans wcisnął go za stół i powiedział: „Tomaszu, ani się waż uśmiechać”. I tego się trzymali – Hans nucąc przy pracy, Cromwell wpatrując się w nieodległą przestrzeń. Kiedy zobaczył ukończony obraz, skomentował: „Chryste, wyglądam jak morderca”, na co jego syn Grzegorz zapytał: „To wcześniej o tym nie wiedziałeś?”. Kopie portretu trafiły do jego przyjaciół oraz do popierających go protestantów w Niemczech. Z oryginałem się nie rozstaje – nie teraz, gdy już do niego przywykł, jak utrzymuje – i często zachodzi do pomieszczenia, gdzie może zobaczyć swoje różne wersje na poszczególnych etapach powstawania: lekki obrys, szkic częściowo zacięniowany. Od czego w ogóle zacząć w jego wypadku? Niektórzy zaczynają od bystrych oczków, niektórzy od nakrycia głowy. Inni wykonują unik i przechodzą od razu do namalowania jego pieczęci i nożyczek, jeszcze inni koncentrują się na turkusowym pierścieniu, podarunku od kardynała. Od czegokolwiek artysta zacznie, efekt jest zawsze ten sam: człowiek czuje, że gdyby Cromwell miał do niego pretensje, lepiej by było, aby nigdy się nie spotkali w bezksiężycową noc. Jego ojciec Walter zwykł był mówić: „Moje chłopaczysko, Tomasz? Spójrz na niego krzywo, a wyłupi ci oczy. Spraw, że się potknie, a odrąbie ci nogę. Ale jeśli nie nadepniesz mu na odcisk, pozostanie łagodny jak baranek. I jeszcze postawi ci kolejkę”.

Hans naszkicował króla, nieszkodliwego w letnich jedwabiach, usadzonego przy wieczerzy w komnatach Wolf Hall, gdy zza otwartych okien dobiegają spóźnione ptasie trele, a słudzy zaczynają wnosić pierwsze świece razem z kandyzowanymi owocami. Na każdym z postojów Henryk wraz z królową Anglii bierze w posiadanie główną siedzibę gospodarzy, natomiast reszta jego świty zadowala się gościnną u miejscowej pomniejszej szlachty. Zwyczajowo – co najmniej raz w trak-

cie takiej wizyty – ród podejmujący króla sprasza owych szlachetków w ramach podziękowania, co nadweręża nieco możliwości domostwa. On, Cromwell, zlicza wozy z zaopatrzeniem wtaczające się na dziedzińiec, widuje kuchnie w stanie zamętu i sam bywa na dole bladym światłem, kiedy szoruje się ceglane piece przed włożeniem pierwszej partii bochnów, kiedy nadziewa się tuszki na ruszt, kiedy ustawia się sagany na fajerkach, kiedy skubie się i oprawia drób. Jego wuj był kucharzem arcybiskupa, toteż jako dziecko kręcił się po kuchniach Lambeth Palace i zna się na rzeczy jak nikt w królewskiej świcie; do tego wie, że wygody najjaśniejszego pana nie można pozostawić przypadkowi.

Dnie upływają miło. Czyste jasne światło opromienia każdą jagódkę połyskującą na krzewach. Każdy listek prześwietlony słońcem zdaje się złotą berą. Kierując się na zachód w samym środku lata, oddajemy się galopadzie przez lasy i wspinamy się na szczyty pagórków, by w końcu wyłonić się na wyżynie, gdzie już wyczuwa się zmienianą naturę morza, mimo że dzielą nas od niego dwa hrabstwa. To tutaj, w tej części Anglii, nasi przodkowie giganci pozostawili po sobie wały ziemne, kurhany, monolity. W żyłach każdego z nas nadal płynie kropla ich krwi. W pradawnych czasach, gdy angielskiej ziemi nie ryły pługi ani nie skubały owce, giganci polowali na dziki i łosie. Lasy ciągnęły się wtedy na wiele dni pieszej wędrówki. Bywa, że ziemia odkrywa starożytną broń: topory, które trzymane oburącz były w stanie powalić jeźdźca z wierzchowcem. Strach pomyśleć o sile ramion tych dawno zmarłych mężczyzn przewracających się w grobach. Ich drugą naturą była wojna; wojna, która tylko czeka, by znów dać o sobie znać. Wszakże nie tylko o przeszłości myśli człowiek, przejeżdżając tędy. Myśli też o tym, co ta ziemia wyda, co wykarmi; myśli o dniach, które dopiero mają nadejść, o jeszcze nie stoczonych bojach, o bólu i śmierci, które angielska ziemia hołubi niczym spęczniałe nasionka. Można by uznać – patrząc na Henryka roześmianego, rozmodlonego, gdy podąża na czele swych kompanów leśną ścieżką – można by otóż pomyśleć, że siedzi na tronie pewnie jak w swoim siodle. Pozory jednak myślą. Nocami król leży bezsennie, wpatruje się w rzeźbione belki więźby, liczy swoje dni. Pyta:

– Cromwell, Cromwell, co ja pocznę?
Cromwell, ratuj przed cesarzem.

Cromwell, ratuj przed papieżem.

Później wzywa arcybiskupa Canterbury, doktora Cranmera, i żąda odpowiedzi na pytanie, czy jego dusza jest przeklęta.

W Londynie cesarski ambasador Eustachy Chapuys wyczekuje wiadomości, że angielscy poddani zbuntowali się przeciwko swemu okrutnemu bezbożnemu monarsze. Wiele by z siebie dał i wiele by zapłacił, aby jego pragnienie się spełniło. Jego pan, cieszący się ogromnym bogactwem cesarz Karol, jest władcą Niderlandów, jak również Hiszpanii i jej zamorskich posiadłości, i od czasu do czasu wpada w gniew na Henryka Tudora, że ten powążył się odsunąć jego ciotkę Katarzynę, by poślubić kobietę, którą zwykli ludzie nazywają pierwszą ladacnicą Anglii. Chapuys namawia go regularnie, aby najechał królestwo, sprzymierzył się z angielskimi buntownikami, pretendentami i malkontentami i podbił ten nieczny kraj, którego król na mocy uchwały parlamentu rozwiązał swoje małżeństwo i ogłosił się równym Bogu. Papież nie bierze lekko tego, że w Anglii jest wyśmiewany i nazywany biskupem Rzymu i że należne mu środki zamiast płynąć do Watykanu, pozostają w Londynie. Bulla z ekskomuniką, już spisana, lecz jeszcze nie ogłoszona, wisi nad głową Henryka, czyniąc zeń wyrzutka pośród monarchów chrześcijańskiej Europy, których otwarcie się zachęca do przekroczenia Kanału Angielskiego czy szkockiej granicy i zagarnięcia całych połaci ziemi. Być może cesarz w końcu uderzy. Być może uderzy król Francji. Może nawet połączą swe siły i uderzą razem. Dobrze by było móc powiedzieć, że jesteśmy na nich przygotowani, rzeczywistość jednak wygląda inaczej. W razie zbrojnego zajazdu chyba będziemy musieli wykopać kości gigantów i przyrznać wrogowi w łeb, albowiem brakuje nam artylerii, brakuje prochu, brakuje stali. Co akurat nie jest winą Tomasza Cromwella, przyznaje kwaśno Chapuys, który nawiasem mówiąc, uważa, że kraj ten znajdowałby się w znacznie lepszym położeniu, gdyby Cromwell doszedł do władzy przed pięcioma laty.

Aby bronić Anglii – a Cromwell by jej bronił wprost na polu walki z mieczem w dłoni – trzeba wiedzieć, czego się broni. W sierpniowym upale stał z odkrytą głową przy rzeźbionych w kamieniu grobowcach przodków, mężczyzn zakutych w zbroję i kolczugi, z rękoma w metalowych rękawicach splecionymi na podołku, ze stopami wspar-

tymi o kamienne lwy, gryfy, ogary: kamiennych ludzi, stalowych ludzi, z pulchnymi żonami u boku skrytymi niczym ślimak w skorupce. Mówimy, że czas nie może skrzywdzić zmarłych, może jednak uczynić krzywdę ich pomnikom, pozostawiając je z utraconymi nosami i palcami wskutek zniszczenia i różnych wypadków. Drobną, odłączoną od reszty ciała stopa (jakby kłęzącego cherubina) wзира spod draperii, czubek odpadłego kciuka spoczywa na wykutej z kamienia poduszce. Trzeba będzie wyremontować praszczurów, powtarzają wielmoże z zachodnich hrabstw, jednakże w gotowości utrzymują ich tarcze i popleczników, na podporządkowaniu mają ich dokonania i osiągnięcia i w rozmowach niezmiennie upiększają czyny swych protoplastów i własne: oto herb, który mój przodek nosił pod Azincourt, oto kielich, który mój przodek otrzymał z rąk samego Jana z Gandawy. Milczy się tylko, jeśli w minionej wojnie między Yorkami i Lancasterami czyis ojcowie i dziadowie obrali złą stronę. Obecne pokolenie powinno wybaczać pomyłki, prostować reputacje – w przeciwnym razie Anglia nie ruszy znów naprzód, zamiast tego będzie spiralnym lotem opadać wstecz, w zapyziałą przeszłość.

On, Cromwell, nie ma praszczurów, którymi mógłby się pochwalić. Niegdyś żył szlachetny ród noszący takie samo nazwisko i gdy Cromwell wstąpił na królewską służbę, heroldowie nakłaniali go do przyjęcia herbu po nim przez wzgląd na pozory, wszakże on odparł wtedy uprzejmie, że nie wywodzi się z tamtej linii i nie zamierza przypisywać sobie cudzych osiągnięć. Umknął przed ciężką ręką ojca, kiedy miał góra piętnaście lat, po czym przekroczył Kanał Angielski i zaciągnął się do armii francuskiego króla. Musiał walczyć, odkąd nauczył się chodzić, a skoro tak, dlaczego nie miałby robić tego dalej za pieniądze? Poza żołnierką jest jeszcze parę lukratywnych zajęć i on wszystkich już spróbował. Z całą pewnością nie śpieszył się z powrotem do domu.

Teraz zaś, gdy utytułowani gospodarze potrzebują rady w kwestii umiejscowienia fontanny czy tańczących trzech Gracji, król odsyła ich do niego, mówiąc: „Cromwell będzie wiedział”; „Cromwell był w Italii”. Skoro okazał się wystarczająco dobry dla tamtych, nie powinien zawieść tych z hrabstwa Wiltshire. Czasami Henryk opuszcza gościnę wyłącznie z innymi jeźdźcami, pozostawiając królową Annę z jej dworkami i muzykami, by swobodnie polować w towarzystwie

najbliższych kompanów. Tak właśnie docierają do komnat Wolf Hall, gdzie czeka na nich stary sir John otoczony dużą rodziną.

– No nie wiem, Cromwell... – rzecze John Seymour, biorąc go delikatnie pod ramię. – Żeby nazywać sokoły imionami nieżyjących niewiast... Czy nie dopada cię przez to smutek?

– Nigdy się nie smucę – odpowiada. – Opatrzność nade mną czuwa.

– Powinieneś się powtórnie ożenić, założyć nową rodzinę. Może jaka panna wpadnie ci w oko u nas. W Savernake Forest nie brak urokliwych młódek.

– Został mi Grzegorz – broni się, oglądając się przez ramię w poszukiwaniu syna; z jakiegoś powodu czuje o niego stale niepokój.

– Ach – powiada Seymour – nie zaszkodzi mieć syna, lecz mężczyzna powinien mieć też córki, córki niosą pociechę. Spójrz tylko na Joannę. Dobre z niej dziewczę.

Posłusznie spogląda na Joannę Seymour, którą zna niezłe z Londynu, jako że była dworką Katarzyny, niegdysiejszej królowej, a także Anny, panującej obecnie. Widzi przeciętną młodą kobietę o srebrzystej cerze, nawykłą do milczenia i mającą irytujący zwyczaj patrzeć na mężczyzn tak, jakby stanowili niemłą niespodziankę. Nosi perły i strój z białego brokatu wyszywanego w sztywne malusie goździki. Od razu widać, ile w to wkłada wysiłku – pomijając perły, ma na sobie prawie trzydzieści funtów. Nic dziwnego, że porusza się z ostrożnością dziecka, któremu przykazano uważać i niczego na siebie nie wylać.

Król odzywa się do niej pierwszy.

– Joanno, czy w domu między swoimi jesteś mniej nieśmiała? – Ujmuje jej myślą łapkę w swoją wielką dłoń i dodaje na stronie: – W Londynie ciężko z niej wydobyć choćby słowo.

Joanna podnosi na niego spojrzenie, rumieniąc się od dekoltu po koniuszki włosów.

– Widzieliście kiedy taki rumieniec? – dopytuje Henryk. – Chyba tylko u dziewczycy młodszej niż dwunastoletnia.

– Nie śmiem twierdzić, że mam dwanaście lat – rzecze Joanna.

Przy wieczerzy król zajmuje miejsce obok lady Margery. Swego czasu była z niej piękność, a sądząc z wyjątkowej uwagi, jaką

Henryk poświęca gospodyni, można by pomyśleć, że jej uroda nie przeminęła, mimo iż wydała na świat dziesięcioro dzieci, z czego sześcioro przeżyło, a troje spożywa z nimi posiłek. Edward Seymour, dziedzic rodu, ma podłużną czaszkę, poważny wyraz twarzy, wyrazisty zacięty profil; przystojniak z niego. Jest czytany, z zadatkami na uczonego; przykłada się do pracy na każdym urzędzie, jaki sprawuje; był na wojnie i planuje powtórkę z wojaczki, a tymczasem sprawdza się na polowaniu i w szrankach. Według niegdysiejszego kardynała wybijał się ponad przeciętność wśród Seymourów, a zdaniem Cromwella, który go wybałał później, jest godny służby na królewskim dworze. Thomas Seymour, młodszy brat Edwarda, hałaśliwością i pyszałkowatością zwraca uwagę kobiet – na jego widok dziewice zaczynają chichotać, a matrony spuszczają wzrok i obserwują go spod rzęs.

Stary John Seymour słynie z uczuć rodzinnych. Plotka głosi, że przed dwoma czy trzema laty trykał żonę własnego syna, i to nie raz w przypiływie namiętności, lecz regularnie od dnia ślubu. Pogłoskę puściła w świat królowa i jej zausznicy.

– Wyszło nam, że zrobili to sto dwadzieścia razy – śmiała się Anna. – Przynajmniej tak wyszło Tomaszowi Cromwellowi, który jest dobry z rachunków. Jak sądzimy, ze wstydu trzymali ręce przy sobie w niedzielę i zachowywali wstrzemięźliwość w Wielki Post.

Niewierna żona urodziła dwóch chłopców, wszelako gdy jej prowadzenie się wyszło na jaw, Edward zapowiedział, że nie uczyni ich swymi dziedzicami, skoro nie może być pewien, czy to jego synowie czy raczej bracia przyrodni. Cudzołożnica trafiła do klasztoru, po czym dogodnie zesza z tego świata. Obecnie Edward ma nową żonę, która zachowuje stosowny dystans do świekra i nosi przy sobie szydło, na wypadek gdyby jednak zbliżył się zanadto.

Ale wszystko puszczone w niepamięć, wszystko przebaczone. Ciało jest słabe. Ta wizyta przypieczętowała królewski pardon. John Seymour siedzi na tysiącu trzystu akrach (wliczając park łowiecki, reszta to pastwiska dla owiec) przynoszących rocznie po dwa szylingi za akr, to jest jedną czwartą tego co taka sama powierzchnia ziemi uprawnej. Hodowane zwierzęta zaliczają się do czarnopyskich owiec skrzyżowanych z walijską odmianą górską i dają łykowatą baraninę, ale za to

dostatecznie dobrą wełnę. Tuż po przybyciu Henryk – wciąż w idyllicznym nastroju – pyta:

– Cromwell, ile waży taka owca?

– Trzydzieści funtów, najjaśniejszy panie.

Francis Weston, jeden z młodszych dworzan, komentuje sarkastycznie:

– Tomasz Cromwell był kiedyś postrzygaczem. Z pewnością się nie myli.

– Anglia stoi handlem wełną. Taka wiedza nie przynosi wstydu Cromwellowi.

Francis Weston tylko się obśmiał, zakrywając usta dłonią.

Nazajutrz podczas polowania królowi będzie towarzyszyć Joanna Seymour.

– Sądziłem, że to wyłącznie męski wypad – szepcze do niego Weston. – Królowa nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała.

– W takim razie – mruczy w odpowiedzi – bądź grzecznym chłopcem i nic jej nie mów.

– My tutaj – puszy się John Seymour – wszyscy przepadamy za polowaniami, moje córki także. Ktoś mógłby pomyśleć, że Joanna jest nieśmiała, lecz wystarczy usadzić ją w siodle, a przemienia się w boginię Dianę. Nigdy nie zwracałem dziewczętom głowy nauką. Dobry Jakub nauczył je wszystkiego co potrzebne.

Ksiądz siedzący na szarym końcu potakuje skinieniem i rozpromienia się: stary głupiec o bladej karnacji i zamglonym spojrzeniu. On, Cromwell, zwraca się do niego:

– Tańca też je nauczyłeś? Chwała ci za to. W Londynie widziałem siostrę Joanny, Bess, tańczącą z królem...

Stary Seymour wybuchł śmiechem.

– Ha, do tego miały nauczyciela. Nauczyciel tańca, nauczyciel muzyki i basta. Na cóż im obce języki? Donikąd się nie wybierają.

– Nie zgadzam się z takim podejściem – rzecze. – Ja moje córki uczyłem tego samego co syna.

Czasem lubi o nich wspomnieć, o Annie i o Grace, nieżyjących już od siedmiu lat. Thomas Seymour parska.

– Cóż to, posyłałeś je w szranki ze swoim Grzegorzem i młodym Sadlerem?

Odpowiada z uśmiechem:

– Tam akurat nie.

Edward Seymour wtrąca:

– Słyszysz się o młodych niewiastach, które żyją w mieście i umieją pisać, a nawet coś więcej. Człowiek potrafi sobie wyobrazić, że mogą się przydać w domowym kantorku. To nie są rzeczy niesłychane. Takie umiejętności pomagają znaleźć męża, każda kupiecka rodzina cieszy się z wyszkolonej synowej.

– A wyobrażacie sobie córki Cromwella? – pyta nagle Weston. – Bo ja nie śmiem. Wątpię, żeby zmieściły się w kantorku. Już prędzej miałyby dobrą rękę do topora. Wystarczyłoby ich jedno spojrzenie, żeby zwalić mężczyznę z nóg. I nie mam tu na myśli miłości od pierwszego wejrzenia.

Grzegorz poprawia się na miejscu. Zazwyczaj błędzi myślami w chmurach i nie śledzi biegu rozmowy, tym razem jednak ton jego głosu przesycony jest urazą.

– Obrażasz moje siostry i ich pamięć, a nawet żadnej nie znałeś. Moja siostra Grace...

Widzi, że Joanna Seymour wyciąga szczupłą rękę i muska palcami przegub Grzegorza; dla jego ocalenia jest gotowa zwrócić na siebie uwagę towarzystwa.

– Ostatnimi czasy – mówi – liźnęłam nieco francuszczyzny.

– Doprawdy, Jane? – pyta z uśmiechem jej młodszy brat.

Joanna kiwa głową.

– Maria Shelton mnie uczy.

– Maria Shelton to miła młoda niewiasta – stwierdza król, a on widzi kątem oka, że Weston daje sąsiadowi kuksańca; krążą słuchy, że Maria Shelton w istocie była miła dla Henryka w łożnicy.

– Jak więc widzicie – rzecze Joanna do swych braci – my, niewiasty, nie spędzamy całego życia na próżnym gadaniu i plotkowaniu. Choć Bóg świadkiem, że plotek starczyłoby dla całego niewieściego zastępu.

– Czyżby? – dopytuje.

– Rozprawiamy o tym, kto miłuje najjaśniejszą panią. Kto pisze dla niej wiersze. – Wtem spuszcza wzrok. – Chciałam powiedzieć: kto miłuje każdą z nas, ten czy tamten młodzieniec. Wiemy, kto uderza do nas w konkury, a nawet znacznie więcej... gotoweśmy przyprawić

ich tym o rumieniec. Opowiadamy sobie, ile mają ziemi i jakie sumy zarabiają na niej w rok, a potem decydujemy, czy pozwolimy im napisać dla siebie sonet. Jeśli naszym zdaniem któryś nie ma dość, by zapewnić nam wygodne życie, krytykujemy jego rymy. Okrutnice z nas, przyznaję.

Nieco wyprowadzony z równowagi stwierdza, że nie ma nic złego w pisaniu poezji dla wybranki serca, nawet zamężnej; że na dworze to całkiem normalne.

– Dziękuję za dobre słowo – rzuca Weston – bo już się bałem, że spróbujesz nam tego zabronić.

Thomas Seymour, śmiejąc się otwarcie, nachyla się do siostry z pytaniem:

– A kto do ciebie uderza w konkury?

– Jeśliś ciekaw, włóż suknię, weź robótkę i dołącz do nas.

– Niczym Achillesowi pośród niewiast – rzecze król – przyjdzie ci zgolić brodę, żeby poznać ich sercowe sekrety. – Choć się śmieje, nie wygląda na zachwyconego. – Chyba że znajdziemy kogoś bardziej dziewczęcego do tego zadania. Grzegorz, tyś nie jest najbrzydszy, aczkolwiek boję się, że zdradziłyby cię twoje wielkie dłonie.

– W końcu to wnuk kowala – dopowiada Weston.

– Ale na przykład ten młodziutki Mark... – kontynuuje król. – Ten muzyk, wiecie, o kim mówię? O, z niego byłoby ładniutkie dziewczę.

– Mark Smeaton? – podchwytuje Joanna. – Och, on i tak kręci się koło nas. Właściwie nie uważamy go za mężczyznę. Skoro ktoś chce poznać nasze tajemnice, niech jego wypyta.

Rozmowa toczy się dalej leniwie i wolno zmienia kierunek. On, Cromwell, dziwi się, że Joanna w ogóle ma coś do powiedzenia od siebie; utwierdza się w przekonaniu, że Weston go judzi, wiedząc, iż w obecności króla nie odważy się nikogo napomnieć; z lubością wyobraża sobie, w jaki sposób najchętniej przywołałby do porządku niesfornego Francisa. Rafe Sadler obserwuje swego mentora spod oka. Henryk zwraca się do niego:

– To co?... Jutrzejszy dzień przebiję dzisiejszy? – Reszcie towarzystwa musi wyjaśnić: – Cromwell nie śpi dobrze, jeżeli czegoś nie ulepszy.

– Chętnie bym zreformował nakrycie głowy waszej królewskiej mości. I do tego te chmury przed południem...

– Deszczyk był mile widziany. Pragnęliśmy ochłody.
– Bóg nie przemoczył zbytnio waszej królewskiej mości – mówi pośpiesznie Edward Seymour.

Król pociera opaleniznę na czole.

– Kardynał uważał, że może wpływać na pogodę. Powiadał na przykład, że ranek wstał dość ładny, ale do południa jeszcze się przejaśni. I przejaśniało się.

Henryk robi to czasem, napomyka w rozmowie o Wolseyu, jakby to nie on, lecz jakiś inny monarcha zadreńczył kardynała na śmierć.

– Niektórzy ludzie to potrafią, wasza królewska mość – rzecze Thomas Seymour. – Tak po prostu. Nie trzeba do tego być kardynałem.

Henryk potakuje uśmiechnięty.

– Racja. Nie powinienem był tak w niego wierzyć, prawda?

– Jak na poddanego był nazbyt dumny – oświadcza stary John Seymour.

Król spogląda przez stół na niego, Cromwella. Tomasz Cromwell kochał kardynała, o czym wszyscy tutaj wiedzą. Jednakże udaje mu się zachować kamienną minę świeżo wyciosanego posagu.

Po wieczerzy gospodarz opowiada historię Edgara Spokojnego, który władał w tych stronach wieśset lat temu, zanim monarchowie zamiast przydomków jęli przybierać kolejne liczby i gdy jeszcze wszystkie damy były czyste jak niepokalany śnieg, a wszyscy rycerze dzielni na zabój, zaś życie wiodło się proste, gwałtowne i zazwyczaj krótkie. Edgar upatrzył sobie niewiastę i posłał do niej jednego ze swych hrabiów, aby ją zobaczył we własnej osobie. Hrabia ów, który był tyleż fałszywy co przebiegły, przesłał wiadomość, że uroda królewskiej wybranki jest znacznie przeceniona przez poetów i malarzy i że niewiasta ta nie tylko utyka, lecz na domiar złego również zezuje. Zamierzał bowiem uwieść i poślubić dziewczę sam, co też uczynił. Odkrywwszy zdradę hrabiego, Edgar zastawił nań pułapkę w zagajniku nieopodal, po czym przebił go włócznią, zabijając na miejscu.

– Co za niegodziwiec był z tego hrabiego! – wykrzykuje Henryk.
– Spotkała go słuszna kara!

– Należałoby go raczej zwać gburem – stwierdza Thomas Seymour.
Jego brat wzdycha, dystansując się od tej uwagi.

– A co na to dama? – pyta Cromwell. – Kiedy już odkryła, że hrabiego nadziano na włóczęgę?

– Poślubiła Edgara – dopowiada John Seymour. – Pobrali się w gaiku i żyli długo i szczęśliwie.

– Przypuszczam, że nie miała wielkiego wyboru – mówi z westchnieniem lady Margery, gospodyni. – Niewiasta musi brać, co przynosi los.

– Miejscowi powiadają – ciągnie jej mąż – że przeniewierca do dziś snuje się po tutejszych lasach i pojękując, stara się wyciągnąć włóczęgę ze swoich trzewi.

– Tylko pomyśleć – odzywa się znów Joanna Seymour – że wyjrzawszy za okno w pierwszą lepszą księżycową noc, można zobaczyć, jak szarpie drzewce i wyrzeka... Całe szczęście, że nie wierzę w duchy.

– To tylko świadczy o tym, ile masz rozumu, siostró – odpowiada jej Thomas Seymour. – Żeby zobaczyć ducha, nie trzeba wyglądać przez okno. One podkradają się do nas, żywych, moja droga.

– Hmm... – zamyśla się Henryk. Nagle unosi rękę i markuje rzut włóczęgią, aczkolwiek z konieczności bez zamachu, bo tylko taki jest możliwy przy stole. – Jeden czysty cios. Edgar musiał mieć nie lada siłę.

Teraz odzywa się on – on, Cromwell:

– Ciekaw jestem, czy tę historię spisano, a jeśli tak, kto ją spisał i czy aby na pewno pod przysięgą.

– Cromwell chciałby postawić hrabiego przed sądem.

– Cha, cha! – śmieje się John Seymour. – Wasza królewska mość ma poczucie humoru... Nie wydaje mi się, żeby w tamtych czasach byli kronikarze, a tym bardziej sędziowie.

– O, Cromwell z pewnością by jakichś znalazł. – Młody Weston nachyla się dla emfazy. – Wydobyłby sędziów przysięgłych spod ziemi, wydrapałby spod ściółki leśnej. I to byłby koniec hrabiego... zostałyby osądzony, wyprowadzony i ścięty. Ponoć przy okazji rozprawy Tomasza Morusa nasz dobry lord sekretarz udał się za sędziami do komnaty narad, po czym gdy już zajęli swoje miejsca, zamknął starannie drzwi i wyłożył im obowiązujące prawo. „Pozwólcie, że rozwiję wasze wątpliwości”, rzekł do nich. „Macie uznać Tomasza Morusa za winnego. Nie dostaniecie nic jeść, dopóki tego nie uczynicie”. Następnie wyszedł i znowu starannie zamknął drzwi, tyle że z drugiej strony,

i czekał pod nimi z toporem na wypadek, gdyby panowie sędziowie chcieli się przedrzeć, łaknąć ciepłej strawy. A że byli londyńczykami, którzy nade wszystko cenią sobie smaczny posiłek, jak tylko poczuli burczenie w brzuchach, zakrzyknęli: „Winny! Winny, i to jeszcze jak!”.

Oczy wszystkich kierują się na niego, Cromwella. Rafe Sandler siedzący u jego boku cały zeszytywniał z napięcia.

– Interesująca opowieść – zwraca się do Westona. – Pozwól jednak, że zapytam, skąd ją wzięłeś. Bo jak można się przekonać na każdym kroku, Tomasz Cromwell znany jest z rzetelności na sali sądowej.

– Nie było cię przy tym – odpowiada Francis Weston. – A zaszyszałem ją od jednego z sędziów przysięgłych. Którzy wołali: „Precz z nim, precz ze zdrajcą! Czy teraz już dostaniemy udziec barani?”. W takich okolicznościach zapadł wyrok śmierci na Tomasza Morusa.

– Sprawiasz wrażenie kogoś, kto tego żałuje – zauważa Rafe.

– Bynajmniej. – Weston unosi obie dłonie. – Królowa Anna powiada, że śmierć Morusa powinna być przestrogą dla jemu podobnych zdrajców. Jakkolwiek wielkie są zasługi, jakkolwiek niepewna jest zdrada, Tomasz Cromwell wszystko wyniucha.

Rozlega się szmer aprobaty; przez moment wydaje mu się, że obecni zaczną go oklaskiwać. Wtem lady Margery przykładą palec do ust i ruchem głowy wskazuje na króla. Usadzony u szczytu stołu Henryk zaczął się chylić na prawą stronę; jego przymknięte powieki trzepoczą, oddech ma spokojny i głęboki.

Zebrani wymieniają uśmiechy.

– Pijany świeżym powietrzem – komentuje szeptem Thomas Seymour.

To pewna odmiana w stosunku do upojenia alkoholem, ostatnimi czasy bowiem Henryk coraz częściej prosi, aby przynieść mu dzban wina, czego nie miał w zwyczaju robić za młodu, gdy był smukły i sprawny. Przygląda się królowi przechylającemu się na krześle. Henryk zaczyna skłaniać się w przód, jakby zamierzał złożyć czoło na blacie, nagle się jednak wzdryga i gwałtownie prostuje, po czym opada na oparcie. Strużka śliny cieknie mu po brodzie.

Przydałby się w tej chwili Henry Norris, wiodący prym dworzanin spośród najbliższego otoczenia króla, znany z bezszelestnego kroku i lekkiej wyrozumiałej ręki; on by delikatnym szeptem przy-

wrócił monarchę do świata jawy. Wszelako Norris został wysłany z listem miłosnym napisanym przez Henryka do Anny. Jak zatem postąpić? Król nie przypomina zmęczonego chłopca jak jeszcze pięć lat temu. Wygląda raczej jak pierwszy lepszy mężczyzna w średnim wieku popadły w odrętwienie po nazbyt sutym posiłku; jest napuchnięty i obrzmiały, z tu i ówdzie pękniętą żyłką, i nawet przy blasku świec widać, że jego rzędzące włosy zaczynają siwieć. Dlatego kiwa na młodego Westona.

– Pora na wielkopański szyk w twoim wykonaniu.

Weston udaje, że nie słyszy. Wpatruje się w króla, nieostroźnie wykrzywiając twarz w grymasie niesmaku. Thomas Seymour mówi szeptem:

– Chyba powinniśmy wszcząć hałas. Aby go obudzić w sposób naturalny.

– Jakiego rodzaju hałas? – dopytuje jego brat Edward samym ruchem warg.

Thomas łapie się za brzuch.

Brwi Edwarda wystrzelają w górę.

– Śmieję się, jeśli masz dość odwagi. Gdy się ocknie, pomyśli, żeś natrząsał się z niego.

Król zaczyna chrapać. Przechyla się w lewo. Ryzykownie przewiesza się przez poręcz.

W końcu odzywa się Francis Weston:

– Ty się tym zajmij, Cromwell. Nikt nie radzi sobie z nim tak dobrze jak ty.

Kręci głową w odpowiedzi; uśmiecha się.

– Boże, chroń króla – rzecze świętoszkowato John Seymour. – Nie jest już taki młody.

Ze swojego miejsca podnosi się Joanna. Towarzyszy temu szelest sztywnych goździków. Pochyla się nad królem i klepie go po grzbiecie dłoni, energicznie, jakby sprawdzała ser. Henryk podskakuje na krześle, rozwierając powieki.

– Nie spałem – zapewnia. – Daję słowo. Chciałem tylko dać odpocząć oczom.

Kiedy król odszedł, udając się na spoczynek, Edward Seymour rzuca:

– Lordzie sekretarzu, pora na rewanż.

Rozpierając się wygodniej z kielichem w dłoni, pyta:

– Cóżem ci takiego uczynił?

– Partyjka szachów. W Calais. Jestem pewien, że pamiętasz.

Późna jesień tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku: tamtej nocy Henryk po raz pierwszy poszedł do łóżka z obecną królową. Zanim zgodziła się z nim zlec, Anna wymusiła przysięgę na Biblię, że poślubi ją, jak tylko znajdą się znów na angielskiej ziemi. Jednakże zła pogoda uwięziła ich na dłużej w porcie, co król wykorzystał, usiłując spłodzić z nią syna.

– Dałeś mi mata, lordzie sekretarzu – ciągnie Edward Seymour.

– Ale tylko dlatego, że nie mogłem się przez ciebie skoncentrować.

– Jakże to?

– Wypytywałeś mnie o moją siostrę Joannę. Ile ma lat i tak dalej.

– Myślałeś, że jestem nią zainteresowany.

– A nie jesteś? – Edward uśmiecha się, aby złagodzić szorstkość pytania. – Nie jest jeszcze nikomu przyobiecana, wiesz...

– Wyjmij szachownicę – rzecze. – Czy figury i piony mają stanąć tak, jak stały w chwili, kiedy rozproszyłem twoją uwagę?

Edward spogląda nań z miną celowo bez wyrazu. O pamięci Cromwella opowiada się niestworzone historie. On za to uśmiecha się do siebie. Byłby w stanie odtworzyć układ figur i pionów, może nie z łatwością, lecz na pewno bez większego trudu; dobrze zna ludzi takich jak Edward Seymour i wie, jak grają.

– Zacznijmy od nowa – proponuje. – W końcu życie toczy się dalej. Nie masz nic przeciwko włoskim zasadom? Nie odpowiadają mi te turnieje, które wloką się przez tydzień.

Otwierający ruch Edwarda świadczy o pewnej dozie śmiałości z jego strony. Później jednak Seymour, trzymając w palcach białego pionka, odchyła się na oparcie krzesła i ze zmarszczonymi brwiami porusza temat świętego Augustyna, a następnie przechodzi do Marcina Lutra.

– Jego nauki sieją zamęt w sercu – stwierdza. – Bóg powołał nas do życia tylko po to, aby ostatecznie przekląć. Wszystkie stworzenia Boże z nielicznymi wyjątkami rodzą się, aby wieść walkę na tym padole, a potem i tak kończą w ogniu piekielnym. Czasami boją się, że to prawda. I znajduję w sobie nadzieję, że może jednak nie...